Rocznik XXIX. Maj — Październik 1905. Nr. 5—10.

Wychodzi we Lwowie z końcem każdego miesiąca. Wkładka roczna z prenumeratą wynosi 2 k. 40 h. Dla nauczycieli Tow. i uczniów tylko 1 k. 40 h, z przesyłką 1 k. 64 h.

MIESIĘCZNIK
Galicyjskiego Towarzystwa
OCHRONY ZWIERZĄT.

Administracya i ekspedycya we Lwowie pl. Bernardyński 7, dokąd wszystkie pisma — zaś wkładki i prenumeraty adresować należy: Adolf Mussil, ul. Kar. Ludwika 7.

Organ galicyjskiego i krakowskiego Towarzystwa ochrony zwierząt

zostającego pod protektoratem J. E. Leona hr. Pinińskiego.



Redaktor: Dr. Józef Limbach.

Protokół.

XXIX Walnego Zgromadzenia gal. Towarzystwa ochrony zwierząt, które odbyło się dnia 1. kwietnia 1905 pod przewodnictwem W. P. Pławickiego.

Obecnych członków 33.

Prezes Pławicki. Witam Szanowne Zgromadzenie i otwieram XXIX. Walne Zgromadzenie. Jeszcze rok, a będziemy obchodzili 30 rok naszego istnienia. Nie mogę powiedzieć, żebyśmy się mogli tego roku poszczycić jakiemiś szczególnymi efektami, lecz chęci nasze są obojętnością ogółu nieraz w dotkliwy sposób paraliżowane. Źle jednak nie jest. Po 10 prawie latach wykołataliśmy nareście u magistratu numerowanie wozów, a sprawa ta dla nas jest wielkiej doniosłości. Zasługą naszą jest także przed niedawnym czasem odbyta rewizya koni tramwajowych, zresztą bliższe szczegóły poda nam nasz sekretarz.

Stosownie do porządku dziennego proszę p. Sekretarza o odczytanie protokolu ostatniego Wal. Zgr.

P. Mussil. Proszę o głos. Ponieważ protokół ten w całości był drukowany w Miesięczniku naszym, więc wnoszę o zwolnienie p. Sekretarza od czytania jego.

Zgromadzenie uwalnia.

Następuje sprawozdanie wydziału.

Sekretarz: Koniec wieku XIX zaznaczył się prócz innych swych znamion także tem, że ludzie przyszli do przekonania, że w zjednoczeniu leży siła i potęga, z którą każdy liczyć się musi. Powstawały więc liczne stowarzyszenia, mające różne cele na oku, cele te jednak zawsze dawały się sprowadzać do wspólnego mianownika, do bronienia praw politycznych lub osobistych człowieka, lub staraniem się o jego dobrobyt.

Gdy oświata wyżej stanęła, nie zapominano o istotach które same swych praw bronić nie mogą, którym człowiek najczęściej przeszkadzał, by się same starały o swój dobrobyt. Zaczęły powstawać towarzystwa ochrony zwierząt w różnych państwach Europy. I nasz kraj nie pozostał w tyle. I my złączyliśmy się, by pod wspólnym sztandarem razem walczyć o prawa o dobrobyt zwierząt. Wprawdzie mała nas jest garstka, bo liczymy dziś zaledwie 220 miejscowych, a 160 zamiejscowych członków, daleko jeszcze do tego by filie nasze gęstą siecią ogarnęły

kraj obcy, bo zaledwie mamy ich 5, a z tych właściwie tylko Jasło, Drohobycz i Krosno są czynne.

Ze spraw, któremi Wydział się zajmował, podniosę jedną szczęśliwie zakończoną. Jak słyszeliście Szanowni Panowie z ust czcigodnego Prezesa dobiegła szczęśliwie do końca sprawa numerowania wozów. Poruszona przez nas prawie przed 10-ciu latami nie mogła w żaden sposób doczekać się załatwienia, nie ustawaliśmy w dążeniu do naszego celu, bo to była sprawa nadto ważna, i z zadowoleniem powiedzieć sobie możemy, że naszą jest zasługą, że dziś numerowane krążą wozy. Dziś nie tak łatwo winowajcy ujść kary, chociaż i stójkowego niema w pobliżu.

Mówiąc o stójkowych, miło mi zaznaczyć, że w przeważnej części stójkowi bądź słuchają interweniującego członka, bądź, co jeszcze więcej im się chwali, sami wkraczają i winnych pociągają do odpowiedzialności. Zasługą to jest zarządu Policyi i korzystam ze sposobności, by na tem miejscu szczere podziękowanie jemu złożyć.

Prasa popiera ze skutkiem nasze usiłowania, często spotykamy się z notatkami o znęcaniu się nad końmi, o interwencyi publiczności, o karze, która spotkała przestępcę, nie ulega wątpliwości, że takie wzmianki pouczające ogół, są dla naszego celu niezmiernie korzystne. Wdzięczność wielka należy się z naszej strony prasie za takie zajmowanie się naszą sprawą. Miesięcznik nasz nie jest do tego celu przydatny, nie jest dostępny, jak z natury rzeczy wypływa, szerszemu ogółowi, a zresztą wychodzi on wbrew swej nazwie nie co miesiąc, ale zaledwie co dwa miesiące. Jeżeli już mowa jest o Miesięczniku, to pozwolę sobie rzec parę słów na nasze usprawiedliwienie, że miesięcznik doznaje dotkliwej zwłoki w swem wydawnictwie. Ja—jako redaktor tego pisemka staram się, o ile możności, by manuskrypt był na czas w drukarni. Niestety ostatnimi czasy doznaje wydawnictwo dotkliwej zwłoki, gdyż, jak zapewne Szanowne Zgromadzenie jest poinformowane, położenie nasze finansowe nie jest wcale świetne, lecz powoli i skutecznie zawsze wywiązujemy się z naszych zobowiązań, a nawet umarzamy dług dawny, który z przed 10-ciu laty ciąży na naszem towarzystwie i już znakomicie przez nas zmiejszony został, że to nie dzieje się w szybszym tempie nie nasza wina, a w tem tkwi przyczyna zatargu z drukarnią i przyczyna zwłoki w wydawnictwie. Mała jest liczba członków, małe są wkładki, więc i małe są nasze fundusze, a do wielkich

rzadkości należy by ktoś znaczniejszą sumą naszą kasę udzielił. Przy tej sposobności niech mi będzie wolno złożyć W. Panu Oskarowi Kreyzerowi szczerą podziękę ze strony towarzystwa, że znaczniejszą kwotę złożył do naszej kasy, by nam choć częściowo ulżyć.

Pewnie, że pod względem ochrony zwierząt w naszem mieście nie jedna rzecz pozostaje do zrobienia, lecz właśnie nasze towarzystwo jest walną przeszkodą w zwiększaniu się dręczeń biednych istot, które muszą stać na usługach człowieka. Bo i woźnica który przeładuje wóz i bije konie, wie, że gdzieś na którejś ulicy spotkać się może z członkiem naszym i ulegnie karze. A i na placu Strzeleckim nie tak bardzo już rozwielmożniają się strażnicy, bo i tam nasi czuwają.

Ale jest jeszcze jedno miejsce, na które niejednokrotnie zwracaliśmy już uwagę członków, a które jako odleglejsze od centrum ruchu zwyczajnego, usuwa się z pod naszej kontroli. Mam tu na myśli plac św. Teodora, plac męczeństwa drobiu, a osobliwie gęsi. Co tam te biedne stworzenia wycierpieć muszą ze strony nielitościwych handlarzy żydowskich, to tego trudno opisać. A kontrola także dla nas jest tam utrudniona, bo handel tam odbywa się w popołudniowych godzinach, kiedy każdy z nas jest zatrudniony, a interwencya znowu utrudnioną jest tą okolicznością, że brak tam posterunku policyjnego z powodu małej liczby straży i rozległości Lwowa. Tu mógłby na to poradzić magistrat, gdyby zechciał przeznaczyć tam na posterunek strażnika miejskiego, ale nie weterana w służbie, który nie ma żadnej energii i niestety często zależy od handlarzy, lecz młodego, energicznego, któremu by z góry można polecić, by w tym kierunku działał.

Z tą sprawą łączy się zaraz sprawa sprzedaży ryb; tu także złe zapuściło głęboko korzenie; tu także winę ponoszą handlarze żydowscy, osobliwie na placu Solskich, nie dbając o dostateczną ilość wody, dozwalając, by ryby w koszach bez wody się konwulsyjnie rzucały, ale najgorzej ma się rzecz z wyjmowaniem ryb z wody, przyczem bez żadnych skrupułów wsadzają rybom palce do óczu, by im ryba się nie wymknęła. Niestety z tem ostatniem spodkać się można także i u chrześciańkich kupców. To wykorzenić może sama publiczność, unikając takich kupców po zwróceniu ich uwagi, że dlatego u nich nie będą kupowali. Na handlarzy na placu Solskich, gdzie znowu

jest przeważnie kupującą mniej inteligentna ludność żydowska, może działać tylko policya, lub magistrat.

Drugie złe, które we Lwowie się rozwielmożniło, jest złe obchodzenie się z końmi przy budowach, tu skargi są liczne i oburzenie publiczności słuszne. Przedsiębiorcy nie uważają wcale, by dostęp był dobry, a nowo powstałemi ulicami. gdy nie są jeszcze zabudowane magistrat się nie troszczy, a na tem biedne konie cierpieć muszą. Tylko czujna baczność członków może tu złemu zaradzić.

Nakoniec prośba. Wprawdzie dobrą jest rzeczą zyskiwanie nowych członków i nigdy nie powinniśmy zaniedbać sposobności zyskiwania ich, ale dąleko lepszą rzeczą będzie, jeżeli każdy z nas, który już jest członkiem, wszędzie i zawsze będzie karcił nadużycie i starał się o dobro zwierząt, a wtedy i z tą małą ilością członków bardzo wiele dobrego zdziałać potrafimy. Skończyłem.

Prezes: Otwieram dyskusyę nad sprawozdaniem. Ponieważ nikt głosu nie zabiera uważam sprawozdanie przyjęte do wiadomości. Proszę p. skarbnika o sprawozdanie kasowe.

P. Skarbnik: Wnoszę, by teraz nastąpiło rozdanie nagród by stójkowych dłużej nie zatrzymywać.

P. Prezes: Przedstawiamy więc porządek dzienny i przystępujemy do rozdania nagród stójkowym.

P. Mussil: Nim to nastąpi, pozwoli Szanowne Zgrom., że odczytam z Miesięcznika tamtegorocznego, com napisał o rozdawaniu nagród na Zgromadzeniu Tow. ochrony zwierząt we Wiedniu, na którem byłem obecny.

Czyta: „Pod wrażeniem odbytego W dniu 6. maja 1904. Wal. Zgr. Tow. ochr. zw. we Lwowie i odbycia rozdania nagród tamtejszej straży policyjnej, byłem świadkiem takiejże uroczystości we Wiedniu.

Samo rozdanie nagród i dyplomów uznania 202 strażnikom policyjnym odbyło się w podwórzu nowego budynku dyrekcyi policyi w obecności przezesa Wied. Tow, ochrony zw. p. Dr. Artura v. Holland, radcy wyż. Sądu, wiceprezesa p. Dr. Gustawa v. Hanrignera, sekretarza tow. p. Eugeniusza Sturma z gronem członków wydziału, p. Anycza, radcy pol. i kilku oficerów straży.

Po przemowie prezesa p. Hollanda, w której podniósł wielką działalność straży wied. w sprawie ochrony zw. i zauważył, że ludzie, którzy ze zwierzętami źle się obchodzą, zazwyczaj i ludz-

kości są niebezpieczni. (Zdanie to słyszałem już kilkakrotnie z ust naszego czcigodnego sekretarza tow.). W końcu rozdano nagrody, a mianowicie: trzem po 3 dukaty w złocie, 42 po 20 koron w złocie, a 154 po 18 koron.

To rozumię — ale też wiedeńskie tow. posiada znaczne fundusze, a przedewszystkiem jest jeden z arcyksiążąt — więc nic też dziwnego, że i publiczność i straż gorliwie i na każdym kroku popierają dobre chęci Towarzystwa.

Prezes: I my chcemy Panów wynagrodzić, ile jesteśmy w możności. Panowie pomagaliście nam w naszych usiłowaniach; niech ta mała karta, którą Wam doręczę, będzie zachętą do dalszej pracy w tym kierunku.

Następuje rozdanie nagród. Po 5 K. Nagrody otrzymali:

Kaprale straży pol.: 1) Smyk; 2) Zalipski; 3) Seneh; 4) Bitozur; 5) Wach; 6) Bońcio; 7) Seńczuk; 8) Kamarzański; 9) Jastrzębski; 10) Szwedziuk.

Strażnicy miejscy: 11) Znamichowski (plac Strzelecki; 12) Peweryn Kazimierz (park Kilińskiego).

P. Skarbnik składa sprawozdanie kasowe:

Sprawozdanie kasowe za r. 1904.

Przychód:	K.	h.
Pozostałość kasowa z r. 1903	71	94
Subwencya m. Lwowa 1903/4	120	—
Wkładki oddziałów	150	—
„ członków	533	—
Składka członków wydz. na premie	56	—
Razem	930	94
Rozchód:		
Drukarni lud. za Miesięcznik (bieżące)	343	50
„ „ a conto dawnego długu	60	—
Administracya Miesięcznika	100	38
Kursor Towarz.	96	—
Nadgrody dla straży	70	—
Wydatki kancel., porta i klisze	40	53
Żywność dla ptaków	167	50
Pozostałość kasowa na r. 1905	53	03
Razem	930	94

Adolf Mussil
Skarbnik.

Za komisyę szkontrującą:

Lubin Więckowski, *Władysław Chruszczewski.*

P. Więckowski: W imieniu komisyi szkontrującej mam zaszczyt zawiadomić, że zbadaliśmy kwity i dokumenta i znaleźliśmy wszystko w najlepszym porządku. Wnoszę o udzielenie absolutoryum.

P. Prezes: Przystępujemy do dalszego punktu naszych obrad, t. j. do wniosków wydziału. Ran radca Maresch ma głos.

P. Maresch: Każde towarzystwo, ma humanitarne cele na oku, stara się, by jakaś wpływowa osoba objęła nad niem protektorat i swojem wpływem go popierała. Wydział nasz upatrzył takiego protektora w osobie Jego Ekscellencyi Leona hr. Pinińskiego, który od dłuższego już czasu, nim jeszcze został członkiem honorowym naszego towarzystwa, zawsze nie spuszczał z oka naszych celów, ale moralnie i czynnie je popierał. Stawiam więc wniosek: „Walne Zgromadzenie uchwala, polecenie do Wydziału, by uprosił J. E. Leona hr. Pinińskiego, ażeby raczył przyjąć protektorat nad naszem towarzystwem“.

Przyjęto przez aklamacyę.

P. Maresch. W sprawozdaniu pana Sekretarza znajduje się ustęp, że przy budowach, które różni przedsiębiorcy wykonują, dzieją się wielkie nadużycia, ależ jest na to rada. Magistrat dając konces na budowę powinien dać za warunek, by dostęp do placu budowy był wyszutrowany, lub wyłożony deskami, przez co uniknie się owego ciągłego dręczenia koni. Stawiam więc wniosek: Wal. Zgr. poleca Wydziałowi wnieść do Magistratu odpowiednio umotywowaną prośbę w powyżej wyłuszczonym sensie“.

Przyjęto.

P. Wesołowski. Wprawdzie jestem jeszcze młodym członkiem, ale wedle sił moich staram się o wypełnianie przyjętych na siebie obowiązków. Ponieważ mieszkam przy placu Strzeleckim, częstym tam jestem gościem. Jest to miejsce, gdzie ciągły dozór członków jest koniecznie potrzebny, ptasznicy, którzy tam męczą po kieszeniach i klatkach ptaszki, uchodzą bezkarnie, bo nie można ich pociągnąć do odpowiedzialności, bo niema straży policyjnej. Stawiam więc wniosek, by wydział postarał się tam o posterunek.

Sekretarz: Na plac Strzelecki zwracamy od dawna baczne oko i nie jedno złe wykorzeniliśmy. Bezsprzecznie, że im więcej nowych członków ten plac odwiedzać będzie, tem lepiej będzie, bo pod takimi ptasznicy się nie kryją. Co się

tyczy organów bezpieczeństwa, to za naszem staraniem zawsze w niedzielę i w święta mają pobliżkie posterunki polecenie zaglądania na ten plac, potem prawie co niedzieli, gdy tylko stosunki służbowe mu pozwalają jest na placu bardzo gorliwy nasz członek, inspektor straży cywilnej p Tauletz, który nie tylko na każde wezwanie członka interweniuje, ale i sam jest bardzo czynny, Na pomoc członkom spieszy także strażnik miejski Znamichowski, który stale tam przebywa, a tow. już od kilku lat za to go na Wal. Zgrom. nagradza. Do tych więc proszę udawać się o pomoc. — Obecny tu nasz członek p. Erdmann stawia przezemnie wniosek w sprawie poruszonej w naszem sprawozdaniu o placu Solskich. Oto według zdania p. Erdmanna trzeba postarać się, by z magistratu ogłoszono handlarzom, jak mają z rybami postępywać i prócz tego na widocznej tablicy przybić ostrzeżenie, że dopuszczający się dręczenia ryb, zostanie ukarany.

Polecono wydziałowi porobić odpowiedne kroki.

Pani Witowska: W imieniu nas kilku kobiet, które tu jesteśmy obecne chcę postawić następujący wniosek;

„Zważywszy, że drób, który bywa przynoszony do miasta, umieszczają sprzedający w nader ciasnych kojcach,

zważywszy, że bardzo często drób z powiązanemi nogami musi całemi godzinami leżeć na gołej ziemi,

zważywszy, że niejednokrotnie zauważyć można, jak drób taki osobliwie w porze letniej spragniony otwiera dzióby z pragnienia, albo też zgłodniały zbiera okruszyny, które dzióbem dosięgnąć może,

prosimy: Wydział zechce wnieść odpowiednio umotywowaną prośbę do Magistratu, by zaradził złemu.

Przyjęto.

Prezes: Następują wybory. Proszę na skrutatorów panów Ciszewskiego i Kępińskiego.

P. Kępiński odczytuje wynik głosowania: wybrano;

Prezes: Dziękując za wybór, niech mi będzie wolno wyrazić podziękowanie serdeczne panom Dr. Limbachowi, sekretarzowi i Mussilowi, skarbnikowi za ich gorliwą i skuteczną pracę (oklaski) i zamykam posiedzenie.

Prezes: *Pławicki.* | Sekretarz: *Limbach.*

Nasze sprawy.

Wypełniając uchwałę Wal. Zgrom. wysłaliśmy następującą prośbę:

Prześwietny Magistracie!

Na rynku miasta Lwowa codziennie widzieć można bądź przekupki, bądź wieśniaczki, które oferują drób do sprzedania. Drób ten w rozmaity sposób dostarczają na miejsce zbytu. Ma on często nogi związane sznurkiem, który, wżynając się w skórę, rani je; przywieziony zwyczajnie w koszach, lub wprost na furze, bywa składany na rynku wprost na gołe kamienie, co osobliwie zimą, staje się dla niego wielką męczarnią, w lecie przekupnie nie dostarczają mu nawet wody do picia, nie jednokrotnie widzieć można, dyszące kury, którym nikt kropli wody nie poda.

Walne Zgromadzenie gal. Towarzystwa ochrony zwierząt poddało te złe stosunki gruntownej dyskusyi i uchwaliło jednomyślnie zwrócić się do Prześwietnego Magistratu, by Prześwietny Magistrat wydał polecenie:

1) by na rynek i na inne miejca targowe przywożono drób bądź w koszach, bądź w siatkach sznurowych o drewnianych dnach.

2) by drobiu nigdy nie wiązać nóg sznurkami, ale tylko szmatkami,

3) by podścielano słomę, gdy drób ma wleżącej pozycyi być sprzedawany,

4) by w kojcach były naczynia z wodą, lub przekupka miała odpowiedne naczynie z wodą, gdy drób bez kojca na sprzedaż wystawia.

Niejednokrotnie zwracał Wydział gal. Tow. ochrony uwagę Prześwietnego Magistratu na złe stosunki panujące na placu Solskich. Na ostatniem Wal. Zgromadzeniu poddano te stosunki obradnej dyskusyi. Okazało się, że handlarze ryb żydowscy trzymają ryby bez wody w słomiannych koszach, by kupującym ułatwić sprzedaż, z wody wyjmują je bez czerpaczek by im się nie wyśliznęły, wpychają im palce w oczy. Woda często nie zmieniana powoduje uduszeniu się, a martwe ryby zostają nadal we wodzie wraz z żywymi. Są to stosunki, które u wszystkich, mających iskierkę czucia w sobie wywołują oburzenie.

Obecni członkowie nasi wyznania mojż., potwierdzili z ubolewaniem te zarzuty i tłumaczyli je tylko tem, że handlarze nie wiedzą, że takie postępowanie jest złe, bo nikt im tego nie zakazał. Otóż za ich inicyatywą uchwaliło Wal. Zgrom. prosić Prześwietny Magistrat, by:

1) obwieścił handlarzom ryb na placu Solskich, że nie wolno trzymać ryb bez wody na słomiankach, że nie wolno wyjmywać ich z wody bez czerpaczek, a co gorsza wpychać im palce do ócz,

2) nakazał im odświeżać wodę, a zdechłe ryby wyjmywać z wody,

3) umieścił to obwieszczenie na tablicy, lub w innym widocznem miejscu na placu Solskich, z uwagą, że przekraczający będą karani grzywną, lub aresztem.

Nakoniec upraszamy, by Prześwietny Magistrat zechciał wyznaczyć na ten plac inspektorów targowych, energicznych, którzyby nie ulegali wpływom handlarzy, ale pouczeni o swych obowiązkach energicznie złe tępili.

Lwów 13. maja 1905.

Za wydział:

Pławicki. *Limbach.*

Zwierzęta w baśniach ludu polskiego.

Baśnie ludu polskiego, to odwieczna literatura, która ustnem podaniem przechodzi w spuściźnie od pokolenia jednego na drugie.

W tych to powieściach nadzwyczaj fantastycznych okraszonych cudownością, w których bohaterowie walczą z potęgami nadprzyrodzonemi i zjawiskami — mieści się wiele zasad etycznych.

Legendy, baśnie, anegdoty, przysłowia i zagadki są wiernym obrazem ducha naszego ludu.

Ten nastrój poetyczny jest okrasą twardego życia wieśniaka walczącego o czarny kawałek chleba.

Lud pracuje ciężko na chleb powszedni, a jednak z chciwości nie wydziera go drugiemu — a gdy się znajdą chciwe jednostki, to je ogół potępia za życia, a po śmierci przeznacza

im piekło na wiekuistą karę. Wszystkie występki lud piętnuje, a cnotę podnosi. Widzimy to w baśniach, gdzie zbrodniarze odnoszą zasłużoną zwykle okropną karę, a cnotliwi bywają po królewsku nagradzani.

Do etyki ludu polskiego należy także litość nad zwierzętami. Zacne, szlachetne serce ludu czuje wstręt do krzywdzenia zwierząt, ma pogardę dla krzywdzicieli. Krzywdzą je tylko głupie albo zwyrodniałe jednostki.

Zacni i rozumni ludzie powinni wyzyskać tą iskrę tlejącą na dnie serca polskiego wieśniaka, budząc umiłowawie utworów bożych — jakiemi są zwierzęta, tym bardziej że one przynoszą ludziom ogromne korzyści.

Księża i nauczyciele mają tu wdzięczne pole do działania. Niechaj rozniecają wrodzoną iskrę uczucia litości dla stworzeń Boga — a wtedy społeczeństwo będzie lepsze i szczęśliwsze.

Na dowód, że lud polski ma wrodzone uczucie litości dla zwierząt, przytaczam następujące baśnie:

O piecuchu.

Pewna wdowa uboga miała trzech synów, z których najmłodszy lubiał wylegać się na piecu, dlatego nazwano go Piecuchem.

Jednego razu uradzili starsi bracia iść w świat na zarobek i prosili matkę, aby im upiekła chleba na drogę. Prosił także i Piecuch o mały placek, bo i on postanowił sobie iść z braćmi.

Nazajutrz o świcie wstali bracia. Matka dała starszym po bochenku chleba, garnczek masła i 2 sery, a najmłodszy dostał mały placek podpłomyk, bo myślała, że on pozostanie w domu na ulubionym piecu.

Synowie pożegnali się z matką i puścili się w drogę; na ostatku szedł Piecuch. Szli ochotnie dzień cały, aż dopiero nad wieczorem usiedli aby się pożywić. Piecuch zjadł ostatek placka. Potem zabrali się wszyscy i dalej w świat. W południe znowu odpoczęli pod rozłożystą lipą. Starsi bracia jedli, a najmłodszy już nic nie miał, więc głodny spoglądał miłosiernie na nich, żeby mu choć skibeczkę chleba podali.

Widząc, że żaden nie myśli dać mu ani okruszyny, uronił łez kilka i prosi: „Dajcie mi też choć po małej skibeczce chleba bom bardzo głodny“.

„Toś mógł nie chodzić, ale siedzieć na piecu“, odrzekli bracia. Potem odezwie się jeden: “Daj sobie wydłubać jedno oko, to damy ci po skibce“.

Piecuch rad nie rad dał sobie wydłubać oko, bo mu się bardzo jeść chciało.

I znowu idą aż do wieczora. Strudzeni i głodni usiedli, aby się pokrzepić. Starsi bracia jedli, a najmłodszy spoglądał na nich, płakał z głodu i prosił, żeby go posilili.

Oni na to: „Daj sobie wydłubać drugie oko, a damy ci chleba“.

Biedny Piecuch przystał na to. Nielitościwi bracia wydarli mu drugie oko.

Słońce zaszło, zmrok pokrywał ziemię. Występni bracia spostrzegli zdala słup na wzgórzu, a myśląc że to Boża męka, postanowili zaprowadzić tam kalekę, aby siedząc żebrał o kawałek chleba.

Nie była to figura, ale szubienica! Nieszczęśliwy Piecuch nie myślał o śnie, bo dumał nad swojem smutnem położeniem. Wtem wybiła dwunasta godzina na wieży kościoła we wsi sąsiedniej. W powietrzu zaszumiało; kracząc przeraźliwie przyleciały trzy kruki i siadły na szubienicy, aż haki zabrzęczały.

Kaleka ze strachu przycupnął do ziemi i zdziwił się, bo kruki gadać zaczęły:

„Żeby nas tu kto nie podsłuchał, to pogadalibyśmy o różnych rzeczach“, rzekł pierwszy. „Ej! ktoby nas tu na tem miejscu i o tej porze mógł podsłuchać“, odrzekł drugi. „Opowiadajcie bracia, co wiecie ciekawego“, dodał trzeci.

Na to pierwszy: „Czy wiecie bracia, że o dziesięć kroków od tej szubienicy jest źródło żywej wody, która natychmiast leczy, każdą chorobę?“

Drugi: „Żeby to o tem wiedziała pani sąsiedniego zamku, kazałaby zaraz wyszukać tej wody, bo od dziesięciu lat choruje. Już ciało odleżała i robaki je nawet toczą. Ludzie mówią, że to za grzechy. Ta pani nie miała dla nikogo litości“.

„Czy wiecie rzekł trzeci, że w pobliskiem mieście nie mają wody, bo przed sześciu laty zatkałem wiechciem grochowym otwór, którym źródło wytryskało. Aż radość, co tam mają kłopotów z wodą. Kopią studnie ale nadarmo. Głupcy! nikomu nie przyjdzie na myśl wleźć do starej studni, wyciągnąć wiecheć, a lunęłaby woda. Ktoby to zrobił, otrzymałby znaczną nagrodę“.

Znowu zaszumiało w powietrzu, haki brzękneły na szubienicy, a kruki odleciały.

Wtedy wstał Piecuch, stanął przy szubienicy i zaczął liczyć kroki, idąc szukać cudownego źródła. Szczęśliwym trafem znalazł źródełko, wymył zakrwawione jamy oczne — i o dziwo — oczy mu urosły, przejrzał.

Podziękowawszy Panu Bogu za cudowne przywrócenie wzroku, nabrał tej wody do skorupki z orzecha i puścił się w drogę.

Przechodząc przez las, spotkał wilka postrzelonego, który jęczał z boleści i zdawało się, że nie pożyje długo.

„Żal mi cię biedny wilczku", rzekł Piecuch, „dlatego cię uzdrowię". Potarł rany cudowną wodą, a wilk wstał zdrowiuteńki i tak przemówił do niego: „Dziękuję ci za uzdrowienie dobry człowiecze, we dnie i w nocy będę ci do pomocy".

Dalej spotkał mysz zduszoną i skaleczoną, która ledwo dychała.

„Żal mi cię biedna myszko", rzekł Piecuch, „dlatego cię uzdrowię".

Wyleczona myszka odrzekła: „Dobry człowiecze! nigdy nie zapomnę o twem dobrodziejstwie, dlatego we dnie i w nocy będę ci do pomocy".

Potem zobaczył pszczołę zdeptaną i tak do niej przemówił: „Żal mi cię biedna pszczółko, dlatego cię uleczę".

Uzdrowiona pszczółka rzekła: „Dziękuję ci dobry człowiecze! we dnie i w nocy będę ci za to do pomocy".

Idąc dalej zaszedł do owego zamku, gdzie od dziesięciu lat pani chorowała. Kazał się zaprowadzić do pana, oświadczając, że chce panią uzdrowić.

Pan zmierzył go oczyma i rzekł: „Co tobie się przywiduje głupi chłopie; nie tacy tu doktorzy i panowie byli, a nic nie poradzili".

Piecuch pokornie chwycił pana za nogi i odpowiedział: „Niech się też jasny pan na mnie nie gniewają, ale zaprowadzą mnie do chorej pani, a może i głupi chłop co poradzi".

Zaprowadzony do pani zamku, dał jej zażyć kroplę żywej wody i natychmiast wyzdrowiała. Radość zapanowała w starem zamczysku.

Piecucha ugoszczono i obdarzono hojnie; nawet go chciano zatrzymać na całe życie, ubrać w pańskie szaty i sadzać do pańskiego stołu, ale Piecuch podziękewał za życzliwość i wybrał się w dalszą drogę.

Szedł dzień cały, aż przybył do owego miasta, gdzie wody nie było. Zgłosił się do burmistrza, że sprowadzi wodę do wyschniętej studni.

Burmistrz go ofuknął: „Cóż ty sobie myślisz chamie, że masz więcej rozumu niż nasi inżynierowie i majstrowie, że ty miasto wodą zasilisz!“

Na to pokłoniwszy się do kolan Piecuch, odpowiedział: „Wielki panie burmistrzu! prawda, że ja prosty, głupi chłop, ale przecież może co poradzę. Pozwólcie mi spróbować, przecież to kosztować nic was nie będzie“.

Gdy burmistrz pozwolił, kazał się Piecuch spuścić na linie do studni i powiedział, aby go natychmiast wyciągnięto, skoro krzyknie. Wydarłszy wiecheć, dał znak, aby go spiesznie wyciągnięto, bo woda buchnęła, wznosząc się w górę, dostawała mu nóg, a potem aż się wierzchem przelewała.

Z tego powodu nastała w mieście wielka radość. Piecucha hojnie nagrodzono i chciano go zrobić mieszczaninem, ale on pięknie za wszystko podziękował i poszedł dalej w świat.

Po paru dniach drogi przybył do jednego dworu, gdzie jego bracia stawiali stajnie. Zobaczywszy go zdziwili się bardzo, że miał zdrowe oczy.

Pan dworu przyjął Piecucha na służbę, ale niegodziwi bracia umyślili go zgubić. Powiedzieli panu, że Piecuch musi być czarnoksiężnikiem, bo mówił, że wymłóciłby jednej nocy i oczyścił wszystko zboże, jakie jest w gumnie.

Pan przywołał Piecucha i kazał mu w nocy zboże wymłócić, grożąc, że go każe utopić jako czarownika, gdyby tego nie wykonał.

Wymawiał się Piecuch, że nie jest czarownikiem, ale nic nie pomogło. Zamknięty w gumnie zapłakał gorzko nad swą niedolą myśląc, jakby to uciec.

Gdy tak rozpacza, przybiegła myszka do niego i pyta, dlaczego się tak smuci?

Piecuch jej opowiedział, czego od niego żądają, a myszka na to: „Nie smuć się, idź spać! ja się postaram, że do rana będzie zboże wymłócone“.

Zwołała więc wszystkie myszy, a te wybrały co do ziarnka z kłosów i złożyły na kupy, każdy gatunek zboża osobno.

Na drugi dzień zdziwił się pan bardzo, zobaczywszy kupy czystego ziarna.

Źli bracia nie poprzestali na tem i namówili pana, aby pod karą śmierci kazał mu wystawić przez noc pałac woskowy. Biedny Piecuch znowu płakał i narzekał na swą niedolę.

Wtem nadleciała pszczółka, która go pocieszyła i obiecała wystawić pałac. Więc zwołała pszczoły z całego świata i nim słoneczko zabłysło na niebie, już stał wspaniały zamek woskowy.

Wyrodni bracia znowu przemyśliwali nad zgubą Piecucha i namówili pana aby mu kazał zwołać wszystkie zwierzęta z całego kraju, za co dostanie sowitą nagrodę, w przeciwnym razie będzie spalony.

Nieszczęśliwy znowu narzeka. Wtedy przybiega do niego wilk znany i pyta, co mu się stało?

Piecuch opowiedział, czego pan żąda, a wilk na to: „Nie smuć się, wszystko będzie dobrze. Chodź ze mną do lasu".

I zaszli do wielkiego ciemnego boru, gdzie stał olbrzymi dąb zbutwiały. Wilk kazał mu wleźć do wnętrza drzewa, wziął trąbkę i bat. Potem dosiadł wilka i zatrąbił w cztery strony świata. Wtedy przybiegły nieprzejrzane gromady zwierząt.

Piecuch jadąc na wilku trąbił, a wszystkie zwierzęta szły za nim ku dworowi owego pana. Od okropnego zgiełku zwierząt, aż powietrze jęczało.

Przestraszony pan, zobaczywszy oknem Piecucha na czele dzikich zwierząt, wyszedł na balkon i zaczął błagać, aby rozgonił zwierzęta, które cały dwór otoczyły, jak daleko oko sięgało. Potem pan rzekł: „Przekonałem się, żeś zacny i mądry, dlatego chciałbym cię mieć za zięcia, bo pragnę moje jedyne dziecko i majątek zostawić prawemu człowiekowi, abym mógł umrzeć spokojnie. Czy przystajesz na to?"

Wtedy tak Piecuch odpowiedział: „Bądź pan spokojny i nie bój się. Te zwierzęta nic panu złego nie zrobią, boś okazał, że masz szlachetne serce. Przyrzekając mi rękę swej córki, uszczęśliwiasz mnie pan nad wszelki wyraz. Jako ubogi chłop nie śmiałem o tem nawet marzyć. Całe życie poświęcę na to, aby dowieść, żeś pan dobry wybór uczynił. Starać się będę pozyskać jego szacunek i miłość ojcowską".

Błagali go także bracia o przebaczenie. Na to im Piecuch odrzekł: „Nie życzę wam nic złego, jakkolwiek byliście zakamieniałego serca i dybaliście na moje życie. Ja wam przebaczam, ale nie wiem, czy wam te zwierzęta przebaczą".

Wtedy drapieżne zwierzęta rzuciły się na nich ze straszliwym rykiem i poszarpały w kawałki.

Potem Piecuch zatrąbił i ruszył na wilku ku lasowi. Wszystkie zwierzęta znowu za nim poszły, a gdy stanął przed wybutwiałym dębem, trzasnął z bata, a rozbiegły się po świecie.

Wilk kazał Piecuchowi schować w dębie trąbkę i batog, a potem pożegnał się z nim czule.

Piecuch wrócił do dworu, gdzie go serdecznie przyjęto. Opowiedział państwu swoje życie i jak to bracia z nim postąpili, a jak Pan Bóg go zachować i uszczęśliwić raczył.

Na to odrzekł ów pan: „Dziwne są wyroki Boże! ale z tego widzimy, że dobre serce i szlachetny umysł nad złem zwycięztwo odnosi".

W krótkim czasie odbył się ślub Piecucha z córką owego szlachcica. Odprawiono huczne wesele. Państwo młodzi z rodzicami długo, długo żyli i szcześliwi byli.

Z tej baśni widzimy, jak lud polski ceni wysoko litość dla zwierząt i ma to przekonanie, że tylko człowiek szlachetny i rozumny odznacza się dobrem sercem, kocha całą przyrodę.

(Dok. nast.)

Z Drukarni Ludowej we Lwowie pod zarządem T. Wiedenia.